SOLOMON NORTHUP



KSIĄŻKA DOSTĘPNA W AUDIOBOOKU

ZNIEWOLONY

12 lat niewoli

błysk

Zniewolony
12 lat niewoli

Solomon Northup

Przekład na język polski
Dawid Wojnar

Tytuł oryginału: **Twelve Years a Slave**

Wydawca: *Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.*
Przekład na język polski: *Dawid Wojnar*
Korekta i redakcja: Dorota Sosulska

Copyright 2026 © for this edition by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.
Copyright 2026 © for this translation by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.

ISBN 9788368676815

Cieszyn 2026

Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.
Ul.Hieronima Przepilińskiego 6
43-400 Cieszyn
NIP: 5242959559

e-mail: *wydawnictwo@wydawnictwoblysk.pl*
www: wydawnictwoblysk.pl

Książka dostępna również w formie audiobooka.

błysk

Na zlecenie Woblink
woblink

woblink.com
plik przygotował Jan Żaborowski

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Wydawca poleca

Rozdział 1

Wprowadzenie — Rodzina Northupów — Narodziny i pochodzenie — Mintus Northup — Małżeństwo z Anne Hampton — Dobre postanowienia — Kanał Champlain — Spływ tratwą do Kanady — Rolnictwo — Skrzypce — Gotowanie — Przeprowadzka do Saratogi — Parker i Perry — Niewolnicy — I niewolnictwo — Dzieci — Początek cierpienia

Urodziłem się jako człowiek wolny i przez ponad trzydzieści lat cieszyłem się dobrodziejstwami wolności w wolnym stanie. Pod koniec tego okresu zostałem jednak porwany i sprzedany do niewoli, w której pozostawałem aż do szczęśliwego uwolnienia w styczniu 1853 roku. Po dwunastu latach zniewolenia zasugerowano mi, że opowieść o moim życiu i losach mogłaby zainteresować opinię publiczną.

Od czasu powrotu do wolności nie mogłem nie zauważyć rosnącego zainteresowania tematem niewolnictwa w stanach północnych. Dzieła beletrystyczne, mające na celu przedstawienie jego cech, zarówno w tych bardziej przyjaznych, jak i odrażających aspektach, krążą na bezprecedensową skalę i, jak rozumiem, stały się owocnym tematem komentarzy i dyskusji.

O niewolnictwie mogę mówić jedynie w zakresie, w jakim było ono przedmiotem moich własnych obserwacji – tylko w zakresie, jaki znałem i doświadczyłem na własnej skórze. Moim celem jest przedstawienie szczerego i prawdziwego opisu faktów, opowiedzenie historii mojego życia bez przesady, pozostawiając innym ocenę, jeśli nawet strony powieści przedstawiają obraz bardziej okrutnej niesprawiedliwości lub surowszej niewoli.

O ile udało mi się ustalić, moi przodkowie ze strony ojca byli niewolnikami w Rhode Island. Należeli do rodziny o nazwisku Northup, której jeden z członków, przenosząc się do stanu Nowy Jork, osiedlił się w Hoosick, w hrabstwie Rensselaer. Przywiózł ze sobą Mintusa Northupa, mojego ojca. Po śmierci tego pana, która musiała nastąpić jakieś pięćdziesiąt lat temu, mój ojciec stał się wolny, ponieważ został wyzwolony na mocy postanowienia zawartego w jego testamencie.

Henry B. Northup z Sandy Hill, wybitny adwokat i człowiek, któremu – dzięki Opatrzności – zawdzięczam moją obecną wolność oraz powrót do żony i dzieci, jest krewnym rodziny, w której moi przodkowie byli w ten sposób trzymani w niewoli i od której przejęli nazwisko, które noszę. Temu faktowi można przypisać wytrwałe zainteresowanie, jakim obdarzył moją sprawę.

Jakiś czas po odzyskaniu wolności mój ojciec przeprowadził się do miejscowości Minerva w hrabstwie Essex, w stanie Nowy Jork, gdzie urodziłem się w lipcu 1808 roku. Nie potrafię jednoznacznie ustalić, jak długo tam mieszkaliśmy. Z Minervy ojciec przeniósł się do Granville w hrabstwie Washington, w pobliżu osady znanej jako Slyborough, gdzie przez kilka lat pracował na farmie Clarka Northupa, również krewnego swojego dawnego pana.

Następnie przeniósł się na farmę Aldenów przy Moss Street, położoną niedaleko na północ od Sandy Hill, a stamtąd na farmę należącą obecnie do Russella Pratta, przy drodze prowadzącej z Fort Edward do Argyle. Mieszkał tam aż do śmierci, która nastąpiła 22 listopada 1829 roku. Pozostawił wdowę i dwoje dzieci – mnie oraz mojego starszego brata Josepha. Ten ostatni nadal mieszka w hrabstwie Oswego, w pobliżu miasta o tej samej nazwie; moja matka zmarła w okresie mojej niewoli.

Chociaż urodził się jako niewolnik i borykał z trudnościami, na jakie narażona jest moja nieszczęsna rasa, mój ojciec był człowiekiem szanowanym za swoją pracowitość i uczciwość – o czym chętnie zaświadczają liczne, wciąż żyjące osoby, które go dobrze pamiętają. Całe swoje życie spędził na spokojnej pracy w rolnictwie. Nigdy nie szukał zatrudnienia na tych bardziej podrzędnych stanowiskach, które wydają się przeznaczone szczególnie dla dzieci Afryki. Oprócz tego, że zapewnił nam wykształcenie przewyższające to, jakie zazwyczaj odbierały dzieci w naszej sytuacji, dzięki swojej pracowitości i oszczędności zgromadził majątek wystarczający do uzyskania prawa wyborczego.

Miał zwyczaj opowiadać nam o swoich wczesnych latach. I choć zawsze żywił najgłębszą życzliwość, a nawet przywiązanie do rodziny, w której domu był niewolnikiem, to jednak doskonale rozumiał system niewolnictwa i ze smutkiem rozważał poniżenie swojej rasy. Starał się zaszczepić w naszych umysłach zasady

moralne i nauczyć nas pokładać ufność w Tym, który ceni zarówno najskromniejszych, jak i najwybitniejszych spośród swoich stworzeń.

Ileż to razy od tamtego czasu przychodziły mi na myśl jego ojcowskie rady, gdy leżałem w chacie dla niewolników w odległych i niezdrowych rejonach Luizjany! Cierpiąc z powodu niezasłużonych ran, jakie zadał mi nieludzki pan, pragnąłem jedynie, by grób, w którym spoczywał mój ojciec, osłonił przed biczem ciemiężcy również mnie.

Na cmentarzu w Sandy Hill skromny kamień wyznacza miejsce, gdzie spoczywa, godnie wypełniwszy obowiązki należące do tej skromnej sfery życia, którą Bóg mu wyznaczył.

Do tego czasu zajmowałem się głównie pracami na farmie u boku ojca. Wolne godziny, które mi pozostawiano, zazwyczaj poświęcałem na naukę, którą czerpałem z książek albo na grę na skrzypcach – zajęcie, które było nadrzędną pasją mojej młodości. Od tamtej pory gra była dla mnie również źródłem pocieszenia. Dostarczała radości prostym ludziom, z którymi los nas połączył, i na wiele godzin odwracała moje myśli od bolesnego rozmyślania o moim losie.

W Boże Narodzenie 1829 roku ożeniłem się z Anne Hampton, dziewczyną o ciemnej karnacji, mieszkającą wówczas w pobliżu naszego domu. Ceremonia odbyła się w Fort Edward, a poprowadził ją Timothy Eddy, tamtejszy sędzia pokoju, który do dziś jest w tych stronach znaną osobistością. Anne przez długi czas mieszkała w Sandy Hill – najpierw u pana Bairda, właściciela gospody „Eagle Tavern”, a później w domu wielebnego Alexandra Proudfita z Salem.

Ów duchowny przez wiele lat przewodniczył tamtejszemu zborowi prezbiteriańskiemu i cieszył się powszechnym szacunkiem ze względu na swoją erudycję oraz pobożność. Anne wciąż z wdzięcznością wspomina niezwykłą życzliwość i doskonałe rady tego dobrego człowieka.

Moja żona nie jest w stanie określić dokładnego pochodzenia swojej rodziny, lecz w jej żyłach płynie krew trzech ras. Trudno powiedzieć, czy przeważa w niej krew czerwona, biała czy czarna. Jednak to potrójne połączenie nadało jej niezwykłą, ale miłą powierzchowność, jaką rzadko się spotyka. Mimo pewnego podobieństwa nie

można jej jednak nazwać kwadronką – a do tej grupy, o czym zapomniałem wcześniej wspomnieć, należała moja matka.

W lipcu poprzedniego roku skończyłem dwadzieścia jeden lat, wkraczając w wiek dojrzały. Pozbawiony rad i pomocy ojca, mając na utrzymaniu żonę, postanowiłem rozpocząć życie pełne skrupulatnej pracowitości. Mimo przeszkody, jaką stanowił kolor mojej skóry, oraz pełnej świadomości mojej niskiej pozycji społecznej, oddawałem się przyjemnym marzeniom o nadejściu lepszych czasów. Wierzyłem, że własny, skromny dom i kilka akrów ziemi wynagrodzą kiedyś moje wysiłki, zapewniając nam szczęście i dostatek.

Od dnia naszego ślubu aż po dziś dzień moja miłość do żony pozostaje szczera i niezmienna. Tylko ci, którzy sami poznali głęboką czułość, jaką ojciec żywi do swojego potomstwa, będą w stanie pojąć moje przywiązanie do ukochanych dzieci, które od tamtego czasu nam się urodziły. Wspominam o tym dzisiaj, gdyż uważam to za konieczne, aby czytelnicy tych stron mogli w pełni zrozumieć ogrom cierpień, na jakie zostałem skazany.

Zaraz po ślubie zamieszkaliśmy w starym, żółtym budynku, który stał wówczas na południowym krańcu osady Fort Edward. Od tamtego czasu został on przebudowany na nowoczesną rezydencję i niedawno zamieszkiwał go kapitan Lathrop. Dom ten znany jest jako Fort House. Po utworzeniu hrabstwa odbywały się w nim niekiedy posiedzenia sądu. W 1777 roku stacjonował w nim również generał Burgoyne, jako że budynek znajdował się blisko starego fortu na lewym brzegu rzeki Hudson.

Zimą pracowałem przy naprawie Kanału Champlain na odcinku, nad którym nadzór sprawował William Van Nortwick. Bezpośrednią opiekę nad robotnikami, wśród których się znajdowałem, sprawował David McEachron. Zanim wiosną otwarto kanał, dzięki oszczędnościom z pensji udało mi się kupić parę koni oraz inne rzeczy niezbędne do prowadzenia działalności żeglugowej.

Zatrudniwszy kilku sprawnych pomocników, zawarłem umowy na transport wielkich tratw z drewnem z jeziora Champlain do Troy. Dyer Beckwith oraz niejaki pan Bartemy z Whitehall towarzyszyli mi w kilku rejsach. W trakcie sezonu doskonale zgłębiłem sztukę i tajniki flisactwa. Wiedza ta pozwoliła mi później

świadczyć dochodowe usługi pewnemu szlachetnemu panu i zadziwić prostodusznych drwali nad brzegami Bayou Boeuf.

Podczas jednej z moich podróży w dół jeziora Champlain dałem się namówić na wizytę w Kanadzie. Udając się do Montrealu, zwiedziłem tamtejszą katedrę oraz inne interesujące miejsca, skąd ruszyłem dalej w kierunku Kingston i kolejnych miejscowości. Zdobyłem wówczas wiedzę o tej okolicy, która również okazała się przydatna w przyszłości, o czym przyjdzie mi wspomnieć pod koniec tej opowieści.

Po wypełnieniu zobowiązań przewozowych w sposób satysfakcjonujący zarówno dla mnie, jak i dla mojego pracodawcy, nie chciałem pozostawać bezczynny. Jako że żegluga na kanale została na zimę ponownie zawieszona, zawarłem umowę z Medadem Gunnem na wycinkę dużej ilości drewna, czym zajmowałem się przez całą zimę przełomu lat 1831 i 1832.

Wraz z nadejściem wiosny Anne i ja postanowiliśmy przejąć gospodarstwo w okolicy. Od najmłodszych lat byłem przyzwyczajony do pracy na roli i było to zajęcie w pełni odpowiadające moim upodobaniom. W związku z tym dzierżawiłem część starego gospodarstwa Aldenów, na którym niegdyś mieszkał mój ojciec. Wyruszyliśmy do naszego nowego domu w Kingsbury, zabierając ze sobą jedną krową, jedną świnię, parę doskonałych wołów, które niedawno nabyłem od Lewisa Browna w Hartford, oraz resztę naszego osobistego dobytku.

Tego roku zasadziłem dwadzieścia pięć akrów kukurydzy i obsiałem rozległe pola owsem, prowadząc gospodarstwo na tak dużą skalę, na jaką pozwalały mi moje skromne środki. Anne sumiennie zajmowała się sprawami domowymi, podczas gdy ja ciężko pracowałem w polu.

W miejscu tym mieszkaliśmy do 1834 roku. Zimą często zapraszano mnie do gry na skrzypcach. Gdziekolwiek młodzi ludzie zbierali się na tańce, niemal zawsze byłem obecny, a w okolicznych wioskach moje skrzypce stały się powszechnie znane. Również Anne, podczas swojego długiego pobytu w „Eagle Tavern”, zyskała pewną sławę jako kucharka.

W tygodniach, w których odbywały się posiedzenia sądu, oraz podczas uroczystości publicznych zatrudniano ją za dobrym wynagrodzeniem w kuchni zajazdu „Sherrill’s Coffee House”.

Z zajęć tych zawsze wracaliśmy do domu z groszami w kieszeni. Łącząc grę na skrzypcach, gotowanie i pracę na roli, wkrótce zaczęliśmy opływać w dostatki, wiodąc doprawdy szczęśliwe i spokojne życie. Ach, jakże lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy pozostali na farmie w Kingsbury! Nadszedł jednak czas, w którym postawiłem kolejny krok ku okrutnemu losowi, jaki na mnie czekał.

W marcu 1834 roku przenieśliśmy się do Saratoga Springs. Zamieszkaliśmy w domu należącym do Daniela O'Briena, położonym po północnej stronie Washington Street. W tym czasie Isaac Taylor prowadził duży pensjonat, znany jako Washington Hall, na północnym krańcu Broadwayu. Zatrudnił mnie jako woźnicę dorożki i w tej roli pracowałem u niego przez dwa lata. Po tym okresie, w trakcie sezonu turystycznego, byłem zazwyczaj zatrudniany – podobnie jak Anne – w hotelu „United States" oraz w innych domach gościnnych w tej miejscowości.

Zimą utrzymywałem się z gry na skrzypcach, choć podczas budowy linii kolejowej Troy–Saratoga przepracowałem przy niej również wiele dni, ciężko harując fizycznie.

W Saratodze miałem zwyczaj kupować najpotrzebniejsze dla rodziny rzeczy w sklepach pana Cephasa Parkera i pana Williama Perry'ego – ludzi, do których, z powodu ich licznych aktów życzliwości, żywiłem głęboki szacunek.

To właśnie z tego powodu dwanaście lat później zaadresowałem do nich list zamieszczony poniżej. Gdy trafił w ręce pana Northupa, stał się ostatecznie kluczem do mojego szczęśliwego oswobodzenia.

Pracując w hotelu „United States", często spotykałem niewolników, którzy towarzyszyli swoim panom z Południa. Byli zawsze dobrze ubrani i zadbani, a ich życie toczyło się pozornie spokojnie, wolne od codziennych trosk. Wiele razy wdawali się ze mną w rozmowy na temat niewolnictwa. Niemal bez wyjątku odkrywałem, że żywili oni skryte pragnienie wolności. Niektórzy z nich wyrażali najgorętszą chęć ucieczki i radzili się mnie, jak najlepiej ją przeprowadzić. Jednak strach przed karą, która niechybnie spotkałaby ich w razie ponownego schwytania, w każdym przypadku okazywał się wystarczający, by powstrzymać ich przed tą próbą.

Przez całe życie oddychałem wolnym powietrzem Północy. Byłem świadomy, że noszę w sobie te same uczucia i pragnienia, jakie kryją się w sercu białego człowieka. Ponadto wiedziałem, że moja inteligencja dorównuje przynajmniej niektórym ludziom o jaśniejszej karnacji. Byłem zbyt dumny, a może zbyt niezależny, by pojąć, jak ktokolwiek mógłby zadowolić się poniżającym stanem niewolnika. Nie potrafiłem zrozumieć sprawiedliwości prawa ani religii, które podtrzymują lub uznają zasadę niewolnictwa. Z dumą mogę jednak powiedzieć, że nigdy nie zawiodłem nikogo, kto przyszedł do mnie po pomoc – zawsze radziłem mu, by wypatrywał okazji i walczył o swoją wolność.

Mieszkałem w Saratodze aż do wiosny 1841 roku. Wielkie nadzieje, które siedem lat wcześniej skłoniły nas do opuszczenia spokojnego gospodarstwa po wschodniej stronie rzeki Hudson, nie spełniły się. Chociaż nigdy nie klepaliśmy biedy, nie osiągnęliśmy też prawdziwego dobrobytu. Atmosfera i towarzystwo w tym znanym na całym świecie uzdrowisku nie sprzyjały zachowaniu prostych nawyków pracowitości i oszczędności, do których byłem przyzwyczajony. Wręcz przeciwnie – niszczyły je, wpajając w zamian skłonność do próżniactwa i rozrzutności.

W tym czasie byliśmy już rodzicami trójki dzieci – Elizabeth, Margaret i Alonzo. Elizabeth, najstarsza, miała dziesięć lat; Margaret była o dwa lata młodsza, a mały Alonzo właśnie skończył pięć lat. Wypełniały nasz dom radością, a ich dziecięce głosy były muzyką dla naszych uszu. Ich matka i ja budowaliśmy dla tych małych, niewinnych istot niezliczone zamki z marzeń. Kiedy nie pracowałem, zawsze spacerowałem z nimi – ubranymi w ich najlepsze stroje – po ulicach i zagajnikach Saratogi. Ich obecność była dla mnie czystą rozkoszą. Przytulałem je do piersi z tak gorącą i czułą miłością, jakby ich śniada skóra była biała jak śnieg.

Jak dotąd historia mojego życia nie zawierała niczego niezwykłego — nic poza zwykłymi nadziejami, miłościami i trudami nieznanego, kolorowego człowieka, który skromnie torował sobie drogę przez świat. Teraz jednak dotarłem do punktu zwrotnego. Stanąłem u progu niewyobrażalnej krzywdy, smutku i rozpaczy. Zbliżyłem się do cienia chmury, do gęstej ciemności, w której wkrótce miałem zniknąć, by na wiele męczących lat pozostać w ukryciu – z dala od oczu moich bliskich i odcięty od słodkiego światła wolności.

Rozdział 2

Dwaj nieznajomi – Trupa cyrkowa – Wyjazd z Saratogi – Brzuchomówstwo i sztuczki iluzjonistyczne – Podróż do Nowego Jorku – Dokumenty uwalniające – Brown i Hamilton – Pośpiech, by dotrzeć do cyrku – Przybycie do Waszyngtonu – Pogrzeb Harrisona – Nagła choroba – Udręka pragnienia – Gasnące światło – Nieprzytomność – Łańcuchy i ciemność.

Pewnego poranka, pod koniec marca 1841 roku, nie mając akurat żadnych pilnych zajęć, spacerowałem po miasteczku Saratoga Springs. Zastanawiałem się właśnie, gdzie mógłbym znaleźć jakieś tymczasowe zatrudnienie, zanim na dobre rozpocznie się sezon. Anne, zgodnie ze zwyczajem, udała się do Sandy Hill, oddalonego o około dwadzieścia mil, aby na czas sesji sądowej objąć kierownictwo nad kuchnią w zajeździe „Sherrill's Coffee House". Wydaje mi się, że towarzyszyła jej Elizabeth, natomiast Margaret i Alonzo przebywali u ciotki w Saratodze.

Na rogu Congress Street i Broadwayu, w pobliżu tawerny, którą – o ile mi wiadomo – wciąż prowadził pan Moon, spotkałem dwóch dżentelmenów o szanowanym wyglądzie. Obaj byli mi zupełnie nieznani. Mam wrażenie, że przedstawił mi ich ktoś ze znajomych – choć na próżno próbowałem sobie przypomnieć, kto to był – wspominając przy tym, że jestem znakomitym skrzypkiem.

W każdym razie natychmiast rozpoczęli ze mną rozmowę, zadając liczne pytania dotyczące moich umiejętności gry na tym instrumencie. Ponieważ moje odpowiedzi wydały się zadowalające, zaproponowali mi krótkoterminowe zatrudnienie, twierdząc, że jestem dokładnie taką osobą, jakiej potrzebują. Przedstawili się później jako Merrill Brown i Abram Hamilton, choć mam poważne powody, by wątpić, czy były to ich prawdziwe personalia.

Pierwszy z nich był mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, raczej niskim i krępym, o rysach twarzy zdradzających bystrość i inteligencję. Nosił czarny surdut oraz czarny kapelusz i twierdził, że mieszka w Rochester lub w Syracuse. Drugi był młodym człowiekiem o jasnej karnacji i jasnych oczach, który – jak sądzę – nie

przekroczył jeszcze dwudziestu pięciu lat. Był wysoki i szczupły. Miał na sobie płaszcz w kolorze tabaki, błyszczący kapelusz oraz kamizelkę o eleganckim wzorze. Cały jego strój był niezwykle modny. Choć jego powierzchowność była nieco zniewieściała, to jednak budziła sympatię, a otaczała go swobodna aura świadcząca o tym, że był człowiekiem światowym.

Jak mi powiedzieli, obaj byli związani z trupą cyrkową przebywającą wówczas w Waszyngtonie. Zmierzali tam właśnie, by ponownie do niej dołączyć po krótkiej nieobecności, kiedy to wybrali się na wycieczkę na północ w celu zwiedzenia okolicy. Na pokrycie kosztów podróży zarabiali okazjonalnymi występami.

Zaznaczyli również, że mają ogromne trudności ze znalezieniem muzyka do swoich występów. Obiecali, że jeśli zgodzę się towarzyszyć im do Nowego Jorku, zapłacą mi dolara za każdy dzień oraz dodatkowe trzy dolary za każdą noc, podczas której zagram na ich przedstawieniu.

Zobowiązali się także pokryć koszty mojej podróży powrotnej do Saratogi. Od razu przyjąłem tę kuszącą ofertę – zarówno ze względu na wysokie wynagrodzenie, jak i z chęci odwiedzenia wielkiego miasta. Moim towarzyszom bardzo zależało na natychmiastowym wyjeździe.

Sądząc, że moja nieobecność potrwa krótko, nie uznałem za konieczne pisania do Anne; zakładałem, że wrócę do domu równie szybko jak ona. Wziąłem więc zapas bielizny oraz skrzypce i byłem gotowy do drogi. Podstawiono powóz – kryty, zaprzężony w parę postawnych, kasztanowatych koni, co razem tworzyło niezwykle elegancki zaprzęg. Ich bagaż, składający się z trzech wielkich kufrów, został przymocowany z tyłu wozu. Ja wsiadłem na kozioł woźnicy, oni zaś zajęli miejsca wewnątrz i tak oto opuściłem Saratogę, kierując się drogą w stronę Albany. Byłem podekscytowany moim nowym zajęciem i szczęśliwy jak nigdy dotąd w całym moim życiu.

Przejechaliśmy przez Ballston i wjechawszy na tak zwaną drogę grzbietową – o ile dobrze pamiętam – podążaliśmy nią prosto do Albany. Do miasta dotarliśmy przed zmrokiem i zatrzymaliśmy się w hotelu położonym na południe od Muzeum. Tej nocy miałem okazję obejrzeć jedno z ich przedstawień – jak się okazało, jedyne podczas całego mojego pobytu z nimi. Hamilton stał przy drzwiach, ja tworzyłem

jednoosobową orkiestrę, a Brown odpowiadał za występy. Polegały one na żonglowaniu piłkami, tańcu na linie, smażeniu naleśników w kapeluszu, udawaniu kwiczenia niewidzialnych świń oraz innych popisach brzuchomówstwa i sztuczkach iluzjonistycznych. Publiczność była mocno nieliczna i daleko jej było do miana elitarnej. Wieczorne podsumowanie wpływów z biletów Hamilton skwitował szekspirowskim cytatem o „nędznym bilansie pustych lóż".

Wczesnym rankiem następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. W rozmowach moi towarzysze bez przerwy powtarzali, że bardzo się spieszą i chcą jak najszybciej dotrzeć do cyrku. Pędzili naprzód, nie zatrzymując się już na żadne występy, i wkrótce dotarliśmy do Nowego Jorku. Zatrzymaliśmy się tam w pensjonacie po zachodniej stronie miasta, przy ulicy biegnącej od Broadway'u do rzeki. Byłem przekonany, że moja wyprawa dobiegła końca i spodziewałem się, że za dzień lub dwa wrócę do bliskich w Saratodze.

Brown i Hamilton zaczęli mnie jednak namawiać, abym udał się z nimi aż do Waszyngtonu. Twierdzili, że zaraz po ich przybyciu – jako że zbliżał się sezon letni – trupa cyrkowa wyruszy na północ. Obiecali mi stałą posadę i wysokie wynagrodzenie, jeśli tylko zechcę im towarzyszyć. Długo rozwodzili się nad korzyściami, jakie mnie czekają, a ich kuszące obietnice były tak przekonujące, że w końcu uległem i zdecydowałem się przyjąć tę ofertę.

Następnego ranka moi towarzysze zasugerowali, że skoro wkrótce mamy wkroczyć na terytorium stanów niewolniczych, dobrze byłoby jeszcze przed opuszczeniem Nowego Jorku wyrobić dla mnie dokumenty potwierdzające moją wolność. Pomysł ten wydał mi się rozsądny, choć podejrzewam, że sam nigdy bym na to nie wpadł, gdyby oni o tym nie wspomnieli.

Udaliśmy się natychmiast do miejsca, które – jak zrozumiałem – było urzędem celnym. Obaj złożyli tam przysięgę, potwierdzając fakty świadczące o tym, że jestem wolnym człowiekiem. Sporządzono stosowny dokument i wręczono go nam z poleceniem, by zanieść go do biura urzędnika miejskiego. Tak też uczyniliśmy; urzędnik opatrzył pismo odpowiednią adnotacją, pobierając za to opłatę w wysokości sześciu szylingów, po czym wróciliśmy do urzędu celnego. Przed sfinalizowaniem sprawy dopełniono jeszcze kilku formalności, a po zapłaceniu urzędnikowi dwóch

dolarów schowałem dokumenty do kieszeni i wraz z moimi dwoma przyjaciółmi wróciłem do hotelu. Muszę przyznać, że w tamtym momencie uważałem te papiery za ledwo warte poniesionych kosztów – myśl o jakimkolwiek zagrożeniu mojego osobistego bezpieczeństwa nawet na moment nie zaświtała mi w głowie.

Pamiętam, że urzędnik, do którego nas skierowano, sporządził adnotację w wielkiej księdze, która, jak przypuszczam, wciąż znajduje się w tamtejszym archiwum. Nie mam wątpliwości, że odnalezienie tych wpisów z drugiej połowy marca lub początku kwietnia 1841 roku w pełni zadowoli sceptyków – przynajmniej jeśli chodzi o tę konkretną sprawę.

Mając już przy sobie dowód wolności, następnego dnia po przybyciu do Nowego Jorku przeprawiliśmy się promem do Jersey City, skąd ruszyliśmy w stronę Filadelfii. Spędziliśmy tam jedną noc, a wczesnym rankiem kontynuowaliśmy podróż w kierunku Baltimore. Dotarliśmy na miejsce bez przeszkód i zatrzymaliśmy się w hotelu niedaleko dworca kolejowego prowadzonym przez pana Rathbone’a i znanym jako Rathbone House.

Przez całą drogę z Nowego Jorku ich pośpiech i niecierpliwość, by jak najszybciej dotrzeć do cyrku, wyraźnie narastały. W Baltimore zostawiliśmy powóz i wsiedliśmy do pociągu jadącego bezpośrednio do Waszyngtonu. Dotarliśmy tam tuż przed zmrokiem, akurat w wieczór poprzedzający pogrzeb generała Harrisona. Na miejscu zatrzymaliśmy się w hotelu Gadsby’s przy Pennsylvania Avenue.

Po kolacji zaprosili mnie do swoich apartamentów i wypłacili mi czterdzieści trzy dolary – kwotę znacznie wyższą, niż wynikało to z naszych ustaleń. Ten akt hojności tłumaczyli tym, że podczas naszej podróży z Saratogi nie organizowali występów tak często, jak mi zapowiadali. Poinformowali mnie ponadto, że trupa cyrkowa miała zamiar opuścić Waszyngton już następnego ranka, lecz ze względu na pogrzeb prezydenta postanowili pozostać w mieście jeszcze jeden dzień.

Przez cały ten czas, od momentu naszego pierwszego spotkania, byli dla mnie niezwykle życzliwi. Nie przepuścili żadnej okazji, by okazać mi szacunek i uznanie, ja zaś z pewnością odwzajemniałem te ciepłe uczucia. Obdarzyłem ich bezgranicznym zaufaniem i bez wahania powierzyłbym im niemal wszystko. Ich nieustanne rozmowy, sposób, w jaki się do mnie zwracali, ich przezorność, gdy

zasugerowali wyrobienie dokumentów wolnościowych, oraz setki innych drobnych gestów, których nie ma potrzeby tu przytaczać – wszystko to utwierdzało mnie w przekonaniu, że byli prawdziwymi przyjaciółmi, szczerze troszczącymi się o moje dobro.Dziś nie wiem już, jak było naprawdę. Nie wiem, czy od początku byli winni tej wielkiej niegodziwości, o którą obecnie ich oskarżam.

Czy byli oni współwinni moich nieszczęść – czy byli podstępnymi, nieludzkimi potworami w ludzkiej skórze, które dla złota celowo odciągnęły mnie od domu, rodziny i wolności – o tym czytelnicy tych stron będą mogli przekonać się sami, tak jak i ja się przekonałem. Gdyby byli niewinni, moje nagłe zniknięcie musiałoby być dla nich doprawdy zagadką. Jednak rozważając w myślach wszystkie towarzyszące temu okoliczności, nigdy nie byłem w stanie wysunąć wobec nich tak łagodnego założenia.

Gdy otrzymałem od nich pieniądze, których – jak się zdawało – mieli pod dostatkiem, poradzili mi, abym tej nocy nie wychodził na ulice, jako że nie znałem panujących w mieście zwyczajów. Obiecując, że wezmę sobie ich radę do serca, pożegnałem się z nimi obu. Wkrótce potem czarnoskóry służący zaprowadził mnie do sypialni położonej na parterze, w tylnej części hotelu. Położyłem się, by odpocząć, myśląc o domu, żonie i dzieciach oraz o ogromnej odległości, która nas dzieliła, aż w końcu zapadłem w sen. Jednak żaden dobry anioł stróż nie stanął przy moim łóżku, by nakazać mi ucieczkę – żaden głos miłosierdzia nie ostrzegł mnie we śnie przed udrękami, które miały wkrótce nadejść.

Następnego dnia w Waszyngtonie odbyła się wielka parada. Huk armat i bicie dzwonów wypełniały powietrze; wiele domów spowito krepą, a ulice utonęły w czerni od nieprzebranych tłumów. W miarę upływu dnia pojawiła się procesja żałobna, powoli przemierzająca Aleję. Długi sznur powozów posuwał się naprzód, a za nim pieszo podążały tysiące i tysiące ludzi – wszyscy poruszali się w rytm melancholijnej muzyki. Niesiono zwłoki Harrisona do grobu.

Od wczesnego rana nieustannie przebywałem w towarzystwie Hamiltona i Browna. Byli to jedyni ludzie, których znałem w Waszyngtonie. Staliśmy razem, gdy przechodziła uroczysta procesja pogrzebowa. Doskonale pamiętam, jak po każdej z salw armatnich, oddawanych na cmentarzu, szyby w oknach pękały i z

brzękiem sypały się na ziemię. Potem udaliśmy się pod Kapitol i długo spacerowaliśmy po jego błoniach. Po południu skierowaliśmy się w stronę Białego Domu – cały czas trzymali mnie blisko siebie, wskazując różne interesujące miejsca. Jak dotąd nie widziałem jeszcze niczego, co wiązałoby się z cyrkiem. W rzeczywistości, w natłoku wrażeń tamtego dnia, myślałem o nim niewiele, o ile w ogóle.

Moi towarzysze kilkakrotnie w ciągu popołudnia wchodzili do barów i zamawiali alkohol. Z tego, co o nich wiedziałem, w żadnym wypadku nie mieli jednak zwyczaju pić ponad miarę. W takich sytuacjach, napełniwszy własne szkła, nalewali kolejny kieliszek i podawali go mnie. Nie upiłem się, co jasno wynika z tego, co wydarzyło się później.

Pod wieczór, wkrótce po wychyleniu jednego z tych trunków, zacząłem odczuwać bardzo niepokojące doznania. Poczułem się nagle wyjątkowo słabo. Zaczęła mnie boleć głowa – był to tępy, ciężki ból, niezwykle dokuczliwy. Podczas kolacji nie miałem już zupełnie apetytu; sam widok i zapach jedzenia wywoływały u mnie silne mdłości.

Gdy zapadł zmrok, ten sam służący odprowadził mnie do pokoju, w którym spałem poprzedniej nocy. Brown i Hamilton poradzili mi, abym się położył, okazując mi przy tym życzliwe współczucie i wyrażając nadzieję, że rano poczuję się lepiej. Zdjąłem jedynie płaszcz oraz buty, po czym rzuciłem się na łóżko. Nie mogłem jednak zasnąć. Ból głowy wciąż narastał, aż stał się omal nie do zniesienia.

Wkrótce ogarnęło mnie potworne pragnienie. Wargi miałem całkowicie spieczone. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym jak tylko o wodzie – o jeziorach, płynących rzekach i strumieniach, nad którymi kiedyś schylałem się, by ugasić pragnienie. Marzyłem o ociekającym wodą wiadrze, wynurzającym się z głębi studni – pełnym chłodnego, ożywczego nektaru.

Około północy, o ile mogłem to oszacować, wstałem, nie mogąc dłużej znieść tak palącego pragnienia. Nie znałem jednak tego domu i nie orientowałem się w rozkładzie pomieszczeń. Z tego, co zdołałem dostrzec, w całym budynku nikt już nie czuwał.

Poruszając się po omacku i nie wiedząc, dokąd idę, trafiłem w końcu do piwnicznej kuchni. Kręciło się tam dwóch lub trzech czarnoskórych służących, a jedna z kobiet podała mi dwie szklanki wody. Przyniosło mi to chwilową ulgę. Nim jednak zdołałem wrócić do swojego pokoju, paląca potrzeba picia i to samo dręczące pragnienie powróciły z nową siłą. O ile to w ogóle możliwe, były one jeszcze bardziej nieznośne niż wcześniej, podobnie jak rozsadzający mi czaszkę ból głowy. Cierpiałem potworne katusze – była to prawdziwa agonia! Wydawało mi się, że stoję na samej krawędzi szaleństwa. Wspomnienie tej nocy straszliwego cierpienia będzie mi towarzyszyć aż do grobu.

Jakąś godzinę po moim powrocie z kuchni zorientowałem się, że ktoś wchodzi do mojego pokoju. Wydawało się, że było ich kilku – słyszałem mieszaninę różnych głosów – nie potrafię jednak powiedzieć, ilu dokładnie i kim byli. Tego, czy znajdowali się wśród nich Brown i Hamilton, mogę się jedynie domyślać. Pamiętam w miarę wyraźnie tylko tyle, że powiedziano mi o konieczności udania się do lekarza po jakieś lekarstwo. Wciągnąłem więc buty i tak jak stałem – bez płaszcza i kapelusza – ruszyłem za nimi długim korytarzem, a potem alejką na otwartą ulicę, która odchodziła pod kątem prostym od Pennsylvania Avenue.

Po przeciwnej stronie, w jakimś oknie, tliło się światło. Mam wrażenie, że towarzyszyły mi wówczas trzy osoby, ale to wspomnienie jest całkowicie zamglone i nieokreślone, niczym powidok bolesnego snu. To, jak szedłem w stronę tamtego światła – które brałem za gabinet lekarski i które zdawało się oddalać, im bardziej się przybliżałem – to ostatnie migotliwe wspomnienie, jakie zachowałem.

Od tej chwili byłem nieprzytomny. Jak długo pozostawałem w tym stanie – czy tylko przez resztę tamtej nocy, czy przez wiele dni i nocy – tego nie wiem. Kiedy jednak w końcu odzyskałem świadomość, znalazłem się sam, w absolutnej ciemności i w kajdanach.

Ból głowy nieco ustąpił, ale wciąż czułem się skrajnie osłabiony i wyczerpany. Siedziałem na niskiej ławce z surowych desek, pozbawiony płaszcza i kapelusza. Na rękach miałem kajdanki, a moje kostki pętało ciężkie żelazo. Jeden koniec łańcucha był przymocowany do wielkiego pierścienia w podłodze, drugi zaś biegł prosto do moich nóg. Na próżno próbowałem stanąć.

Gdy ocknąłem się z tego bolesnego letargu, potrzebowałem dłuższej chwili, by zebrać myśli. Gdzie byłem? Co oznaczały te pęta? Gdzie podziali się Brown i Hamilton? Czym zasłużyłem na uwięzienie w takim lochu? Nie potrafiłem tego pojąć. W mojej świadomości, tuż przed przebudzeniem w tym posępnym miejscu, ziała pustka obejmująca nieokreślony czas. Wydarzeń z tego okresu nie byłem w stanie przywołać nawet przy największym wysiłku pamięci.

Nasłuchiwałem uważnie jakiegokolwiek znaku lub odgłosu życia, lecz nic nie przerywało tej przytłaczającej ciszy, z wyjątkiem brzęku łańcuchów, ilekroć drgnąłem. Przemówiłem na głos, ale dźwięk własnego głosu aż mnie zatrwożył. Sięgnąłem do kieszeni na tyle, na ile pozwalały mi pęta – wystarczająco daleko, by odkryć potworną prawdę: nie tylko odebrano mi wolność, ale zniknęły również moje pieniądze i dokumenty potwierdzające, że jestem wolnym człowiekiem!

Wtedy właśnie zaczęła mi się nasuwać myśl – początkowo mglista i niejasna – że zostałem porwany. Uważałem to jednak za rzecz absolutnie niewiarygodną. Musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia, jakiejś niefortunnej pomyłki. Nie mieściło mi się w głowie, by wolny obywatel stanu Nowy Jork, który nikomu nie wyrządził krzywdy ani nie złamał żadnego prawa, mógł być traktowany w tak nieludzki sposób.

Im dłużej jednak rozważałem swoje położenie, tym mocniej utwierdzałem się w tych podejrzeniach. Była to doprawdy zatrważająca myśl. Czułem, że straciłem już wszelką wiarę w drugiego człowieka i nie mam co liczyć na jego litość. Powierzywszy się zatem Bogu uciśnionych, skłoniłem głowę nad skrępowanymi dłońmi i gorzko zapłakałem.

Rozdział 3

Bolesne rozmyślania — James H. Burch — Więzienie dla niewolników Williamsa w Waszyngtonie — Lokaj Radrurn — Domaganie się wolności — Gniew handlarza — Wiosło i bicz „Cat-O'-Ninetails" — Chłosta — Nowi znajomi — Ray, Williams i Randall — Przybycie małej Emily i jej matki do więzienia — Matczyne smutki — Historia Elizy.

Minęły jakieś trzy godziny, podczas których siedziałem na niskiej ławce, pogrążony w bolesnych rozmyślaniach. W końcu usłyszałem pianie koguta, a wkrótce potem do moich uszu dotarł odległy, narastający szum, jakby ulicami pędziły powozy. Zrozumiałem, że nastał dzień, choć do mojej celi nie przedostał się ani jeden promień światła. Gdy tuż nad głową usłyszałem kroki kogoś chodzącego tam i z powrotem, domyśliłem się, że muszę znajdować się w podziemnym pomieszczeniu, co zresztą potwierdzał wilgotny, stęchły zapach tego miejsca.

Hałas z góry trwał co najmniej godzinę, aż na zewnątrz rozległy się zbliżające kroki. Klucz zgrzytnął w zamku, ciężkie drzwi rozwarły się szeroko, wpuszczając do środka jaskrawy strumień światła, a przede mną stanęło dwóch mężczyzn.

Jeden z nich był wysokim, potężnym człowiekiem, mającym może ze czterdzieści lat, o ciemnych, lekko szpakowatych włosach. Miał pełną twarz, rumianą cerę oraz grube, surowe rysy, z których wyzierały jedynie okrucieństwo i przebiegłość. Mierzył około pięciu stóp i dziesięciu cali wzrostu, był krępy i – mówię to bez uprzedzeń – jego powierzchowność budziła wyłącznie lęk i odrazę. Nazywał się James H. Burch, o czym dowiedziałem się później – był to znany w Waszyngtonie handlarz niewolnikami, będący wówczas, bądź jeszcze całkiem niedawno, wspólnikiem w interesach Theophilusa Freemana z Nowego Orleanu. Towarzyszył mu pachołek o imieniu Ebenezer Radburn, pełniący tu po prostu rolę strażnika. Obaj ci ludzie nadal mieszkają w Waszyngtonie, a przynajmniej mieszkali tam w styczniu ubiegłego roku, gdy wracałem przez to miasto z niewoli.

Światło wpadające przez otwarte drzwi pozwoliło mi wreszcie rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym mnie uwięziono. Była to cela w kształcie kwadratu o boku

około dwunastu stóp, o ścianach z litego muru i podłodze z grubych desek. Znajdowało się tam tylko jedno małe okno, zabezpieczone grubymi żelaznymi kratami, którego zewnętrzna okiennica pozostawała szczelnie zamknięta.

Żelazne drzwi prowadziły do sąsiedniej celi – całkowicie pozbawionej okien czy jakiegokolwiek innego źródła światła krypty. Wyposażenie celi, w której się znajdowałem, stanowiła jedynie drewniana ławka, na której siedziałem, oraz staromodny, brudny piecyk skrzynkowy. Poza tym w żadnym z tych pomieszczeń nie było ani łóżka, ani koca, ani jakiegokolwiek innego sprzętu.

Drzwi, przez które weszli Burch i Radburn, prowadziły na zewnątrz przez wąskie przejście i schody w górę. Wychodziło się nimi na dziedziniec otoczony ceglanym murem o wysokości dziesięciu lub dwunastu stóp, usytuowany bezpośrednio za budynkiem. Dziedziniec miał taką samą szerokość jak sam dom i rozciągał się za nim na długość około trzydziestu stóp.

W jednej części muru znajdowały się solidne, wzmocnione żelazem wrota, otwierające się na wąskie, zadaszone przejście, które prowadziło wzdłuż ściany domu prosto na ulicę. Los człowieka o ciemnej karnacji, za którym zatrzasnęły się drzwi z tego wąskiego korytarza, był już przesądzony.

Na szczycie muru opierał się dach schodzący do wewnątrz dziedzińca, tworząc rodzaj otwartej wiaty. Pod nim ciągnęło się zrujnowane poddasze, gdzie niewolnicy, jeśli mieli na to ochotę, mogli spać nocą lub szukać schronienia przed burzą w czasie niepogody. Pod wieloma względami miejsce to przypominało zwykłe podwórze gospodarskie, z tą tylko różnicą, że zostało skonstruowane tak, by świat zewnętrzny nigdy nie mógł dostrzec spędzonego tam „ludzkiego bydła”.

Budynek, do którego przylegało to podwórze, miał dwie kondygnacje i wychodził frontem na jedną z publicznych ulic Waszyngtonu. Z zewnątrz sprawiał wrażenie zwyczajnej, spokojnej prywatnej rezydencji. Żaden nieznajomy, patrząc na niego, nigdy by nie przypuszczał, do jak ohydnych celów służył.

Choć może się to wydawać niewiarygodne, w zasięgu wzroku od tego samego domu, majestatycznie nad nim górując, wznosił się Kapitol. Głosy patriotycznych mężów stanu, chełpiących się wolnością i równością, niemal mieszały się z brzękiem

łańcuchów nieszczęsnych niewolników. Zagroda dla niewolników w samym cieniu Kapitolu!

Tak właśnie wyglądało w 1841 roku więzienie dla niewolników Williamsa w Waszyngtonie, w którego piwnicach znalazłem się w tak niewytłumaczalny sposób uwięziony.

– No cóż, chłopcze, jak się teraz czujesz? – zapytał Burch, wchodząc przez otwarte drzwi.

Odpowiedziałem, że czuję się bardzo źle, i zażądałem wyjaśnienia, dlaczego zostałem tu uwięziony. Oświadczył mi prosto w twarz, że jestem jego niewolnikiem – że mnie kupił i zamierza wysłać do Nowego Orleanu. Wtedy głośno i śmiało oznajmiłem, że jestem wolnym człowiekiem, obywatelem Saratoga Springs, gdzie mam wolną żonę i dzieci, a moje nazwisko to Northup. Gorzko skarżyłem się na potworne traktowanie, jakiego doświadczyłem, i zapowiedziałem, że gdy tylko odzyskam wolność, zażądam sprawiedliwości i zadośćuczynienia za tę krzywdę.

On jednak zaprzeczył, jakobym był wolny, i z siarczystą przysięgą oświadczył, że pochodzę z Georgii. Wielokrotnie powtarzałem, że nie jestem niczyim niewolnikiem, i żądałem, by natychmiast zdjął mi pęta. Próbował mnie uciszyć, jakby rozpaczliwie bał się, że ktoś na ulicy usłyszy mój krzyk.

Nie zamierzałem jednak milczeć – głośno piętnowałem sprawców mojego uwięzienia, kimkolwiek byli, nazywając ich bezlitosnymi łotrami. Gdy zorientował się, że nie zdoła mnie zakrzyczeć, wpadł w furię. Miotając potworne przekleństwa, wyzywał mnie od czarnych kłamców i uciekinierów z Georgii, obrzucając mnie wszelkimi innymi plugawymi epitetami, jakie tylko mogła zrodzić najbardziej zwyrodniała wyobraźnia.

Przez cały ten czas Radburn stał obok w milczeniu. Jego zadaniem było nadzorowanie tej ludzkiej – czy raczej nieludzkiej – stajni: przyjmowanie niewolników, karmienie ich oraz biczowanie, a wszystko to za stawkę dwóch szylingów od głowy dziennie. Burch zwrócił się do niego i rozkazał przynieść łopatkę oraz kota o dziewięciu ogonach. Strażnik zniknął i po chwili powrócił z tymi narzędziami tortur.

Łopatka, jak nazywano ją w żargonie oprawców – a przynajmniej ta, z którą po raz pierwszy się zapoznałem i o której teraz mówię – była kawałkiem deski z twardego drewna o długości osiemnastu lub dwudziestu cali, ukształtowanym na wzór staromodnej kopystki lub zwykłego wiosła. Jej spłaszczona część, której obwód odpowiadał mniej więcej rozmiarowi dwóch rozłożonych dłoni, została w wielu miejscach przewiercona małym wiertłem. Wspomniany bicz wykonano natomiast z grubej, wielosplotowej liny – jej końce rozpleciono, a na końcu każdego z dziewięciu sznurów zawiązano mocny węzeł.

Gdy tylko przyniesiono te złowrogie narzędzia, obaj porywacze rzucili się na mnie i brutalnie zdarli ze mnie ubranie. Moje stopy, jak już wspomniałem, były przykute do podłogi. Radburn rzucił mnie na ławę twarzą do dołu, po czym postawił swoją ciężką stopę na łańcuchu łączącym moje nadgarstki, dociskając go boleśnie do desek.

Wtedy Burch zaczął okładać mnie łopatką. Cios za ciosem spadał na moje nagie ciało. Kiedy w końcu jego katowskie ramię opadło ze zmęczenia, przerwał na chwilę i zapytał, czy nadal upieram się, że jestem wolnym człowiekiem. Gdy odpowiedziałem, że tak, uderzenia powróciły – o ile to w ogóle możliwe – z jeszcze większą szybkością i dwojoną zaciekłością.

Kiedy znów opadł z sił, powtórzył to samo pytanie, a słysząc niezmienną odpowiedź, powrócił do swojego okrutnego dzieła. Przez cały czas ten wcielony diabeł miotał najbardziej potworne przekleństwa. W końcu drewniana łopatka pękła, a w jego dłoni pozostała jedynie bezużyteczna rękojeść.

Mimo to wciąż się nie poddawałem. Żadne z jego bestialskich uderzeń nie zdołało wymusić z moich ust ohydnego kłamstwa, jakobym był niewolnikiem. Wściekły, cisnął rękojeść złamanej łopatki na podłogę i chwycił za bicz. Uderzenia te okazały się o wiele boleśniejsze od poprzednich. Szarpałem się z całych sił, lecz wszystko na próżno. Błagałem o litość, ale na moje błagania odpowiadano jedynie kolejnymi batami i stekiem wyzwisk. Byłem pewien, że zginę pod ciosami tej przeklętej bestii.

Nawet teraz, gdy przypominam sobie tamtą scenę, skóra mi cierpnie z przerażenia. Całe moje ciało płonęło żywym ogniem. Moich ówczesnych cierpień

nie potrafię porównać do niczego innego, jak tylko do palących mąk piekielnych!

W końcu zamilkłem i przestałem reagować na jego powtarzające się pytania. Nie miałem już zamiaru odpowiadać – w rzeczywistości ledwo byłem w stanie wydobyć z siebie głos. On jednak wciąż bezlitośnie smagał moje bezbronne ciało, aż przy każdym uderzeniu odnosiłem wrażenie, że poszarpane mięso odpada płatami od kości. Człowiek mający w duszy choćby iskrę współczucia nie biłby tak okrutnie nawet psa.

W końcu Radburn stwierdził, że dalsza chłosta nie ma już sensu, bo i tak dostałem już potężne baty. Dopiero wtedy Burch przestał. Zacisnął pięść tuż przed moją twarzą i sycząc przez zęby, zagroził, że jeśli kiedykolwiek odważę się znowu pisnąć, iż jestem wolny, że zostałem porwany, czy cokolwiek w tym rodzaju, to kara, którą właśnie otrzymałem, okaże się niczym w porównaniu z tym, co mnie czeka. Przysiągł, że albo mnie złamie, albo zabije.

Po tych „pocieszających” słowach zdjęto mi kajdanki z nadgarstków, choć moje stopy nadal pozostawały przykute do żelaznego pierścienia. Okiennica małego, zakratowanego okna, którą na czas bicia otworzono, została ponownie zatrzaśnięta. Oprawcy wyszli, ryglując za sobą ciężkie drzwi i pozostawiając mnie – tak jak poprzednio – w absolutnej ciemności.

Po godzinie, a może dwóch, serce podskoczyło mi do gardła, gdy klucz znów zgrzytnął w zamku. Ja, który jeszcze przed chwilą czułem się tak potwornie samotny i tak żarliwie pragnąłem zobaczyć kogokolwiek – bez względu na to, kim by był – teraz drżałem na samą myśl o nadejściu człowieka. Ludzka twarz budziła we mnie paraliżujący strach, zwłaszcza jeśli była biała.

Wszedł Radburn, niosąc na blaszanym talerzu wysuszony kawałek smażonej wieprzowiny, kromkę chleba i kubek wody. Zapytał, jak się czuję, i zauważył, że zostałem potężnie skatowany. Ostrzegł mnie, że nie powinienem upierać się przy swojej wolności. W dość protekcjonalny, lecz poufny sposób udzielił mi rady, że im mniej będę mówił na ten temat, tym lepiej dla mnie. Mężczyzna ten ewidentnie starał się sprawiać wrażenie życzliwego – czy rzeczywiście poruszył go widok mojego opłakanego stanu, czy też chciał mnie po prostu uciszyć, bym przestał domagać się swoich praw, nie ma już teraz potrzeby zgadywać. Na koniec odpiął

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej.

